Nr. 45. We Lwowie dnia 5. listopada 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Muzeum socjalne w Paryżu.

Pod nazwą powyższą powstało w Paryżu i dekretem prezydenta rzeczypospolitej, z d. 31. sierpnia 1894, uznane zostało za instytucję użyteczności publicznej towarzystwo, mające na celu bezpłatne dostarczanie publiczności dokumentów, modeli, planów i statutów wszelkich instytucji i urządzeń społecznych, dążących do podniesienia materjalnego i moralnego stanu ludności robotniczej.

Cel ten zamierza wzmiankowane towarzystwo osiągnąć za pomocą:

1. Stałej wystawy ekonomji socjalnej.
2. Bibljoteki i czytelni dla publicznego użytku.
3. Udzielania publiczności wszelkich wskazówek i informacji w zakresie instytucji socjalnych, mających dobrobyt robotników na celu.
4. Odczytów, kursów specjalnych i demonstracji, wyjaśniających okazy i dokumenty, znajdujące się na wystawie i popularyzujących instytucje socjalne.
5. Wysyłania ekspedycji w celu zbadania postępów w tej dziedzinie pracy społecznej we Francji i zagranicą.
6. Wydawnictw, mających zapoznać publiczność z pracami Towarzystwa i jego zbiorami.
7. Ogłaszania konkursów, na prace z dziedziny ekonomji socjalnej, udzielania nagród pieniężnych i medali.

Założycielem Towarzystwa jest hr. Chambrun, który ofiarował gmach dla umieszczenia biur i zbiorów Towarzystwa oraz 200.000 franków na fundusz żelazny. Szlachetny ofiarodawca na posiedzeniu towarzystwa dnia 25 lipca r. b. zaznaczył, iż pobudką do stworzenia tej instytucji była wspaniała wystawa ekonomji społecznej na powszechnej wystawie w Paryżu w r. 1889, którą założyciel chciałby utrwalić w muzeum socjalnem i z biegiem czasu rozwijać.

Już w r. 1867 na wystawie wszechświatowej w Paryżu, komisarz jeneralny Le Play, znany myśliciel i inżynier, urządził wystawę przedmiotów, w ten lub ów sposób styczność mających z podniesieniem materjalnego i moralnego stanu ludności. Ale dział ten należycie został rozwinięty dopiero na wystawie z r. 1889. Z końcem wystawy dały się ze wszech stron słyszeć wyrazy żalu, iż tak cenny zbiór okazów, z takim mozołem zgromadzony, ulegnie rozproszeniu i wówczas jury powzięło myśl założenia muzeum socjalnego. W r. 1890 utworzyło się pod prezydencją znanego ekonomisty Leona Say'a stowarzyszenie Muzeum ekonomji socjalnej. Dzięki poparciu rządu i na mocy ustawy parlamentu z dnia 12. Marca 1893, utworzono muzeum ekonomji socjalnej, na które parlament wyasygnował 40.000 franków jednorazowo na koszta założenia i po 10.000 franków corocznie na koszta utrzymania.

Widocznie jednak muzeum to nie wystarczało odczutej już potrzebie, skoro wkrótce, bo w maju r. b. poruszył hr. Chambrun myśl ufundowania drugiego muzeum, a w czerwcu przedłożono statuta nowego towarzystwa na zatwierdzenie rządu. Szlachetny ofiarodawca hojnie uposażył nowe muzeum. Oprócz 200.000 franków, które ofiarował na kapitał żelazny, cennych zbiorów itp. założyciel na pomieszczenie biur i muzeum przeznaczył swój pałac w Paryżu, na ul. Las Cases Nr. 5.

p.

Zadania powieści polskiej.

Skreślił

Z. Miłkowski (T. T. Jeż).

(Ciąg dalszy).

Czy nadejdzie kiedy ten czas, że społeczeństwo nie będzie takiego potrzebowało źwierciadła? — Co?...

Zapytanie to samo w sobie odpowiedź zawiera.

Na źwierciadło bywają gniewy, srogie nawet niekiedy, jeżeli zanadto wyraźnie lub za zbyt brutalnie zmarszczki i plamy pokazuje. Niemasz jednak sposobu obchodzić się bez niego w społeczeństwie, zwłaszcza ucywilizowanem. Obok publicystyki, mającej specjalne zadanie zajmowania się sprawami bieżącemi, stało się ono niezbędnem ze względu na pożytek, jaki niesie pod warunkiem, o ile nie jest fałszywem. Bywają bowiem źwierciadła niezupełnie wierne. Jedno z takich opisał ś. p. biskup Krasicki. Było to »źwierciadło, co wszystko zgadło«, — co ciemną cerę bieliło, zmarszczki gładziło, garby prostowało, starość odmładzało. Są znów źwierciadła, które, na odwrót, fizjonomję wydłużają lub skrócają, rysy krzywią, płeć czernią; trafiają się one po zajazdach, w pokojach gościnnych — opisywali je powieściopisarze nasi. Gdy przeto powieść staje się bądź to źwierciadłem, przez biskupa Krasickiego opisanem, bądź też owem zajazdowem, natenczas pożyteczność jej przedstawia się w świetle bardzo wątpliwem. Warunkiem, pod którym ona społeczeństwu służyć z korzyścią może, jest przedewszystkiem: prawda.

Warunek ten wprowadza nas wprost do zadań, jakie do rozwiązania ma powieść polska.

Są one jedne ogólne, t. j. te same, jakie ciężą na powieści francuskiej, angielskiej, włoskiej, niemieckiej i wszelakiej innej — drugie szczególne, odnoszące się do położenia, w jakiem się Polska znajduje.

Zdaje mi się, że się nie mylę, jeżeli powiem, ze śród nas Polaków, w sferze naszego społeczeństwa myślącej, rozumującej i literaturą się interesującej — co na jedno wyjdzie, gdybym powiedział: powieści czytającej — zdaje mi się, że w tej sferze ogromna chyba mniejszość za normalne położenie ojczyzny naszej uznaje. Większość ogromna uznaje je za nienormalne, nieprawidłowe, nieregularne, nieodpowiadające nietylko prawom narodu, ale najżywotniejszym potrzebom ſego, tym mianowicie potrzebom, wedle których wypowiadają się i czynami odpowiednimi się świadczą aspiracje obywatelstwa narodowego. Nie potrzebuję bliżej wyrazów powyższych tłumaczyć. Tłumaczą się one same — zresztą za tłumaczenie, z literatury naszej zaczerpnięte, posłuży ten fakt, że nie posiadamy literatury galicyjskiej, literatury wielkopolskiej, literatury zaboru rosyjskiego, ale polską, polską ogólnie, polską, wyraźnie i jedynie. Fakt ten wygląda na przeciwną naturze rzecz: na poćwiartowanie ciała bez nadwerężenia życia. Z poćwiartowanego ciała, człowieczego nawet, życie pierzcha, dusza ulata gdzieś — hen — w zaświat, do nieba, czy piekła, pozostawiając na ziemi, co ziemskie. Z naszą ojczyzną stało się wręcz przeciwnie: życie nie pierzchło, dusza nie uleciała: co ludzie rozczłonkowali, to duch narodu polskiego zcala tu na gruncie, na ziemi polskiej, dokumentując zcalenie czynami, przepełniającymi porozbiorową naszą historję, przejawiając się w literaturze i odźwierciadlając w powieści. Ztąd, wobec aspiracji, jakie z konieczności rzeczy położenie podobne wytwarzać musi, powieści polskiej specjalne przypadają zadania.

Jakież są zadania owe? na czem polegają?

Na utrzymywaniu narodu przy tem, co nie uciekło z rozczłonkowanego ciała przy życiu za pomocą pielęgnowania języka ojczystego i chronienia od zatraty pamiątek narodowych...« — brzmi odpowiedź, dająca się usłyszeć dosyć często. Odpowiedź ta byłaby zadowalniającą, gdyby z duszy, z tej duszy co przed wieki Polskę do bytu powołała i pragnieniami i dążeniami specjalnie polskiemi natchnęła, gdyby z tej duszy, po utracie bytu, aspiracje z korzeniem wyrwać można było. Nie tajno nam, że w kierunku tym, w czasach zwłaszcza ostatnich, mniej lub więcej wyraźnie przejawiają się tendencje, karcące ostro t e n d e n c j ę w powieści. Karcenie spotyka mianowicie i szczególnie tendencję patrjotyczną z demokratycznego wynikającą gruntu. Przezywaną jest przekąśnie, z jednej strony »patrjotnictwem«, z drugiej »szowinizmem«. Doradzaną jest natomiast droga bądź etyczno-estetyczna, bądź też czysto estetyczna, wijąca się śród stosunków towarzyskich, towarzysko-społecznych, klasowych, śród wypadków historycznych, a usiana uroczymi kwiatami retorycznymi, których woń ludziom — młodym zwłaszcza — głowy zawraca i sprowadza kombinacje i kombinacyjki bardzo ciekawe, szczególnie, gdy je illustrują przeźroczyście maskowane skandale. Woń owa, przenikająca frazesy, wydziela się z warkoczów kochanki — zwie się miłością płciową. Zaprzeczeniu nie ulega, że

zachwyca ona, odurza, że stanowi wielką w opowiadaniu powieściowem ponętę, że w powieści jest dla niej miejsce odpowiednie dla tego, że się wplata w życie i, po człowieczemu wzięta, stanowi etyczno-fizjologiczną treść życia. Nakłanianie jednak życia ku tej treści i ku niej, jeżeli nie wyłącznie, to przeważnie, zawiera w sobie wyraźną tendencję — to raz, a przytem, mimo żem sam powieściopisarz i w utworach moich nierazem się miłością nie zawsze nieudatnie posługiwał, jedna rzecz do pojęcia i przekonania mi nie trafia: jak najgorętsza dwojga kochanków miłość, oprawiona w najczystsze perły retoryczne i w najbardziej ciekawe towarzyskie, towarzysko-społeczne i klasowe stosunki, może być mniej tendencyjną, oraz, we względzie etyczno-estetycznym i czysto estetycznym, wyższą, szczytniejszą, bardziej interesującą, aniżeli — miłość ojczyzny? Zresztą miłość jedna miłości drugiej zgoła nie zawadza: kochając Anusię, Franusię, czy też Julję, Laurę, można kochanie podnieść na stopień wyższy, obejmujący kraj, a w nim rodzinę całą tej, którą zwiemy m a t k ą spólną i dla której ojcowie, dziadowie i naddziadowie nasi ofiar i krwi nie szczędzili. Dok. n.

Historja ruchu rewolucyjnego w Rosji.

Niedawno ukazało się polskie tłumaczenie znanego dzieła pisarza niemieckiego Alfonsa Thura »Historja ruchu rewolucyjnego w Rosji«. Dzieło Thura jest dotąd jedynem, najbardziej dokładnem przedstawieniem życia rewolucyjnego w caracie. Thur wyzyskał skrzętnie wszystkie znane mu materjały; korzystał on również z ustnych opowiadań kilku wybitniejszych konspiratorów rosyjskich. Oddając do użytku publiczności polskiej pracę Thura, jej wydawcy londyńscy bardzo przysłużyli się społeczeństwu polskiemu, gdyż dokładne poznanie dziejów i charakteru wszystkich ruchów rewolucyjnych w państwie carów, do którego większość naszego narodu od stu przeszło lat pozostaje przykutą, jest dla nas niezbędne. Z dotychczasowej historji ruchu rewolucyjnego w Rosji, możemy wyciągnąć wskazówkę na przyszłość: czego możemy spodziewać się dla nas po tym ruchu i jakie stanowisko względem niego zająć powinniśmy. Z drugiej znowu strony we wszystkich spiskach, sprzysiężeniach i zamachach nie małą rolę odgrywali i Polacy, częstokroć z zupełnem zapoznaniem interesów i aspiracji własnego kraju i narodu — z tego więc powodu ruch rewolucyjny Rosjan powinien być dla nas ciekawy. Ponieważ rozmiary »Tygodnia« nie pozwalają na szczegółowe streszczenie dosyć obszernego dzieła Thura, przeto będziemy się starali jaknajzwięzlej przedstawić ogólny bieg wypadków rewolucyjnego życia w Rosji, podnosząc główne momenty walki rewolucjonistów z caratem i nie zapuszczając się w żadne szczegóły.

Jeszcze w w. XVIII. zawiązywały się w Rosji tajne stowarzyszenia, ukrywające swe dążności polityczno-społeczne pod pozorami religijnymi. Przybierały one formę związków masońskich, które czas pewien były przez rząd tolerowane, jednakże już w ostatnim roku panowania Katarzyny II. poczęto je prześladować. Prześladowania te przerwały liberalne rządy Aleksandra I. Wojny napoleońskie i stosunki z Francją zapoznały inteligencję rosyjską z prądami, nurtującymi wśród społeczeństwa zachodnio-europejskiego. Idee rewolucji francuskiej opanowały umysłami młodzieży rosyjskiej, która postanowiła dążyć do rzeczypospolitej federacyjnej, albo przynajmniej do monarchji konstytucyjnej. Z początku młodzież ta sądziła, że uda się jej dopiąć swych zamiarów przy pomocy cara, jednakże, kiedy nastąpił znany zwrot reakcyjny w jego polityce, kiedy w r. 1822 wszystkie loże masońskie zostały zamknięte, pośród oficerów zaczęły się tworzyć liczne stowarzyszenia tajne. Forma ich organizacji wielce przypominała sprzysiężenie jakobinów: nadzieję przewrótu pokładano w powstaniu wojskowem. Wkrótce nadarzyła się ku temu sposobność. D. 14 grudnia 1825 r., kiedy wojsko miało przysięgać Mikołajowi po abdykacji Konstantego, nastąpił wybuch niefortunny, zdławiony przez rząd i zakończony śmiercią przez powieszenie pięciu głównych przewódców i zesłaniem na Sybir 116 spiskowców. Żelazna ręka cara Mikołaja na długo przytłumiła wszelkie dążenia wolnościowe w Rosji.

W drugiej połowie panowania cara Mikołaja, do Rosji dostają się pisma St. Simona, Fouriera, Louis Blanc'a, Proudhona i Owena, wskutek czego młodzież rosyjska poczyna się przejmować ideami socjalizmu zachodnio-europejskiego. Powstają liczne tajne stowarzyszenia, prawie zupełnie pozbawione charakteru politycznego, a mające na celu przedewszystkiem samokształcenie się. Ale i ten niewinny ruch wzbudził czujność rządu i wydał mu się nader niebezpiecznym. Wskutek denuncjacji część tych stowarzyszeń została wykryta (1848 — sprawa Pietraszewskiego), kilkadziesiąt członków skazano na śmierć, a wskutek ułaskawienia zesłano do ciężkich robót i »w sałdaty«. Od tego czasu, aż do końca panowania Mikołaja, monarchję cara zaległo ponure milczenie.

Po wstąpieniu na tron Aleksandra II. idee wolnościowe na nowo poczynają torować sobie drogę w społeczeństwie rosyjskiem. Naturalnie spotkały one już na samym wstępie opór ze strony rządu i wkrótce środki ich rozpowszechniania, stały się rewolucyjnymi. W ich rozwoju da się rozróżnić cztery okresy. Pierwszy okres wpływu Hercena i Czernyszewskiego za pomoc

prasy rozpoczyna się już od r. 1855, obejmuje przygotowania do zniesienia poddaństwa i rozczarowanie, które potem nastąpiło, a kończy się powstaniem polskiem w r. 1863. Drugi okres zawiera szczere usiłowania liberałów do połączenia się z rządem reformatorskim i zastój w rozwoju idei rewolucyjnej, zakłócony nieznacznie tylko przez spiski Jozutina i Nieczajewa, tudzież przez zamach Karakozowa. Od roku 1872 rozpoczyna się okres propagandy, prowadzonej z celami czysto socjalistycznymi i początkowo zupełnie pokojowymi, które po r. 1876 ustępują miejsca gwałtowniejszym środkom, prowadzącym do agitacji rewolucyjnej. Nareszcie po r. 1878 w ruchu tym nastaje stanowczy zwrot: polityka występuje na pierwszy plan przed socjalizmem, a na miejsce środków pokojowych występuje teror, przeważnie pod postacią systematycznego carobójstwa.

C. d. n.

Gorączka Jerzyka.

Obrazek.

(Dokończenie).

— Gdzie Jerzyk? Co się z nim stało? Musiał schować się gdzieś znowu. Jaki to niedobry chłopiec: zawsze taka z nim bieda, gdy chodzi o spanie — doleciał z trzeciego pokoju głos panny Felicji.

— A-a-a — kotki dwa, szare, bure obydwa — śpiewała Wanda, kołysząc małą Cechnę, która zasnęła u jej piersi.

— Jerzyk, Jerzyk, odezwij się, gdzie jesteś? — wołała panna Felicja.

Obszukawszy wszystkie kąty stołowego, dziecinnego i sypialnego pokoju, zajrzawszy za wysoki ekran przed kominkiem w buduarze Wandy, gdzie malec ukrywał się niekiedy, Felicja doszła do gabinetu Gustawa. Już miała wbiedz na środek jego ze słowami:

— Jerzyk, Jerzyk, pokaż się, chyba tu tylko być możesz... — gdy w tem, stanąwszy na progu, umilkła.

Pan pisał: nie wolno mu było przerywać. Pani zapowiedziała służbie raz na zawsze, aby nie wchodziła do gabinetu w chwili, kiedy pan siedzi przy biurku.

Zrozpaczona, wychyliwszy głowę za ciemną portjerę spostrzegła Jerzyka, przyczajonego pod ścianą. Główkę miał w stronę ojca zwróconą: udawał, że nie widzi nikogo, że nie słyszał dotąd nawołującego głosu.

Na palcach, nie oddychając prawie, Felicja przebiegła po arabeskach dywanu.

— Chodź ze mną; czas spać; już od dawna powinieneś być w łóżeczku — szepnęła, wyciągając Jerzyka z kąta.

Zwiesiwszy główkę na piersi, wyciągnąwszy wargi w ryjek, niezadowolony, zły, nachmurzony Jerzyk szedł za boną, ociągając się leniwie, rzucając ukośne spojrzenia na ojca i na chińczyków, którzy spacerowali pod parasolami na lampie.

Cmentarz. Pusto. Mrok ponury.
Dziwnie smutno szumią drzewa;
Twarz księżyca skryły chmury;
W cieniach gąszczu ptak nie śpiewa.
Cisza — ciężkim snem ujęte
Wszystko milczy, jak zaklęte...

deklamował Gustaw, odczytując wiersz swój po raz ostatni.

Jerzyk, wychodząc z pokoju, machinalnie powtarzał za ojcem każdy wyraz. Teraz dopiero zrozumiał, że ojciec mówił o czemś smutnem, bardzo smutnem: był raz z panną Felicją na cmentarzu i widział, że tam wszyscy ludzie płakali...

* * *

Dwa tygodnie upłynęły od tego czasu.

Pogodna jesień roztoczyła cały przepych gasnącej przyrody. W alejach za miastem padał deszcz złotych liści: kasztany, więdnąc, zrzucały je z siebie.

W południe gromadki dzieci zbierały z nich bukiety.

— Ja chcę czerwonych.

— Daj mi żółtych: ty masz wszystkie żółte, ja ci dam za to czerwone...

— Mamusiu, on odebrał mi najładniejsze, jeszcze zielone listki, które sobie uzbierałem — rozlegały się cieniutkie, pieszczotliwe, najczęściej rozkapryszone głosy dziecinne.

Jerzyk codzień z alei wracał do domu z pękiem suchych liści.

— Jak będziesz taka duża, jak ja — mówił, wymachując niemi przed Cechną — to także będziesz chodziła w aleje i zbierała takie bukiety...

Któregoś dnia postanowił przynieść do domu tyle ich, żeby ubrać niemi nietylko dziecinny pokój, lecz także i gabinet ojczulka, buduar mateczki, przedpokój, kuchnię i jadalnię.

— Panna Felicja pomoże mi nieść wszystko, prawda? — zapytał, wychodząc z domu.

— Dobrze, dobrze — brzmiała odpowiedź — tylko nie marudź, dziś daleko później idziemy na spacer, niż zwykle; co na to powie mamusia, gdy się dowie?

Rzeczywiście tego dnia wybrali się znacznie później. Jerzyk grymasił przy ubieraniu. Panna Felicja chciała mu dać pąsowe pończoszki: on naparł się koniecznie czarnych, dowodząc, że jest już za duży, aby mu coś czerwonego wyglądało z pod płaszczyka. Panna Felicja przygotowała mu grube, jesienne palto, mówiąc, iż tego dnia

znacznie chłodniej, aniżeli wszystkich poprzednich; on uparł się: powiedział, że nie wyjdzie wcale, jeżeli nie dadzą mu szarego, letniego paltocika, który nosił dotąd.

Matki nie było, nie miał kto rozstrzygnąć sporu. Panna Felicja, zbyt powolna i mało energiczna, uległa kaprysowi malca. Jerzyk postawił na swojem: wyszedł na ulicę w lekkim paltociku i w czarnych pończoszkach.

Dzień był chłodny. Słońce skryło się za gęstymi, szarymi obłokami, które napływały od wschodu. Zerwał się wiatr i popędził je na zachód, jak stado burych gołębi o rozpiętych skrzydłach. Wojując z chmurami na niebie, wojował na ziemi z tumanami suchych liści, które podnosił i rzucał wprost w oczy przechodniów.

Jerzyk tym razem był dziwnie niesforny. Zamiast wrócić do domu wcześnie, jak chciała panna Felicja, uparł się żeby chodzić po alejach jak najdłużej i chwytać w powietrzu liście, które wiatr unosił.

— Zaziębisz się i zachorujesz; zobaczysz, że tak będzie — ostrzegała panna Felicja.

— To i cóż, choćbym zachorował? Sama panna Felicja mówiła, że ojczulek i mamusia bogaci, to sprowadzą zaraz doktora i cóż mi będzie? Ojczulek tak ciężko chorował zeszłego roku, a dlatego pan Wolski go wyleczył.

Z uporem, który zapowiadał w nim przyszłą energję czynu i wytrwałość w postanowieniach, gonił uciekające przed nim liście. Wiatr rozwiewał ciemne jego włosy, ścinał buzię żywemi kolorami.

Najciemniejsza, północnowschodnia chmura rozsypała się drobnym deszczem, gdy on sam wreszcie, chwyciwszy dwa liście, które fruwały w powietrzu, jak czerwono-żółte motyle, zawołał:

— Jużem się zmęczył, chodźmy do domu!

Po paru godzinach ciągłego biegania postanowił wracać wolnym, jaknajwolniejszym krokiem. Próżno panna Felicja nawoływała:

— Jerzyk, chodź prędzej! Jerzyk, nie marudź! Rodzice czekają na nas z obiadem...

Bawił go deszcz, mżący drobnemi, kłującemi, jak ostrze cieniutkich igiełek, kroplami. Nadstawiał buzię, aby go dotykały, rozkładał ręce, aby je chwytać.

Rzucił po drodze wszystkie zebrane liście, tak go ten deszcz zajął i zabawił...

Przed samym domem uczuł nagły chłód. Wiatr na rozdrożu trzech ulic owiał go przejmującem tchnieniem.

— Zimno mi, chodźmy prędzej, panno Felicjo. Zimno mi! — zawołał, biegnąc do bramy.

Tego dnia nie chciał nic jeść przy obiedzie.

— Jerzyk dziś marudny i niegrzeczny od samego rana — narzekała panna Felicja.

Matka groziła, że nie dostanie leguminy, jeżeli nie zje kawałka mięsa: nic nie pomagało. Sprobował trochę zupy, wziął w usta kawałeczek pieczeni — nic mu nie smakowało; mówił, że jest niegłodny i że zostawi sobie swoją porcję na wieczór.

O zmierzchu zaczął narzekać, że mu coraz zimniej; drżał jak w febrze i sam, dobrowolnie, położył się do łóżka.

— Trzeba było słuchać mnie i wziąć ciepłe palto — odezwała się panna Felicja.

— Nie kłóć się ze mną, widzisz, że jestem chory! — odpowiedział, szczękając zębami.

Całą noc przemajaczył. Zdawało mu się, że fruwa, jak liść w powietrzu, że wiatr pędzi go to na prawo, to na lewo, nie zostawiając ani chwili w spoczynku.

Następnych kilka nocy majaczył jeszcze bardziej. Głowa mu pałała. Krew napływała do mózgu, budząc w nim dziwaczne, poplątane obrazy.

— Nie chcę tu leżeć! — zawołał ósmego dnia wieczorem, kiedy gorączka doszła do zenitu. — Nie chcę tu leżeć — powtórzył, wskazując na łóżeczko swoje w dziecinnym pokoju. — Zaprowadźcie mię do gabinetu ojczulka: tam tak ładnie; zaraz będę zdrów!

Zasłano prześcieradłem wielką perską otomanę, położono na niej poduszki. Gustaw wziął malca na ręce i sam przez ciemny korytarz przeniósł go do swego pokoju.

— Zapalcie lampę z chińczykami! — dyktował Jerzyk, skoro ułożono go na otomanie.

Matka spełniła jego życzenie. Od strony biurka padł na środek dywanu snop mdłego blasku. Chinki i chińczycy, oświetleni, spacerowali na deseniu papierowego abażuru..

Jerzyk wlepiał oczy kolejno to w drgający płomień lampy, to w pręty malowanych chińskich parasoli, to w pstre zygzagi i różnobarwne plamy dywanu. Każdy przedmiot przybierał w oczach jego kształty drobnych kółek, kółeczek, rąbów, czworoboków. Wszystko razem wirowało przed nim, jak w kalejdoskopie. Lampa, dywan, chińczycy oddalali się i niknęli, malejąc stopniowo, przechodząc w drobne, zaledwie widzialne punkciki; to znowu, wydłużeni, nieforemni, wielcy, przystępowali wprost do niego w tłumnych, zwartych szeregach. Któryś z nich chciał wziąć go na ręce i skakać z nim po pokoju, ale ktoś trzeci przewrócił ich i przygniótł strasznym ciężarem.

Po chwili chińczycy, lampa, dywan wróciły na swoje miejsca; w rogu pokoju natomiast zaczęły poruszać się, kołysać łagodnie liście wielkiej palmy na marmurowym słupie.

Wyraźnie, najwyraźniej palma wachlowała go, zamiast jednak chłodzić twarz jego, rzucała mu na usta gorące, duszące tchnienie.

Z wysiłkiem woli Jerzyk odwrócił wzrok, od palmy i spojrzał napowrót w stronę lampy.

Mdły blask padał na ciemne, dębowe biurko, pąsowem suknem wyłożone, na szereg ozdób, ustawionych wzdłuż rzeźbionych jego pałek i na wygodny, głęboki, perską tkaniną obrzucony fotel, na którym Gustaw, pracując, siadał zwykle.

Jerzyk podniósł się. Jakiś obraz zamajaczył przed oczami jego nagle. Widział wyraźnie cmentarz i gromadę tańczących dokoła niego nieboszczyków.

Przycisnął palec do ust, przypominając coś sobie...

Źrenice jego, rozszerzone bezmiernie, błyszczały ogniem gorączki; wargi, spalone, drgały niespokojnie; dwie plamy czerwone pałały na policzkach; białe czoło zmarszczyło się lekko.

— Ojczulku, usiądź tam, przy biurku, tylko zaraz, prędzej! — zawołał nagle, wyciągnąwszy rączkę w stronę fotelu, niedbale od biurka odsuniętego.

— Poczekaj, coś ci podyktuję: weź pióro, papier i pisz tak, jak wtedy...

Nie patrząc ani na biurko, ani na fotel, zwróciwszy oczy wprost przed siebie i utkwiwszy je w stalowy łańcuch, podtrzymujący kotary, zaczął mówić powolnym, uroczystym głosem:

Cmentarz. Pusto. Mrok ponury.
Dziwnie smutno szumią drzewa.
Twarz księżyca skryły chmury,
W cieniach gąszczu ptak nie śpiewa,..

Była to pierwsza strofa poematu, który Gustaw napisał dwa tygodnie temu, którego potem sam nie czytał ani razu, o którym w domu nigdy nie było mowy...

Głos dziecka przerwał się, jakgdyby przełamał raptownie na ostatnim wyrazie; oczy odwróciły się szybko od stalowych łańcuchów kotary.

— Nie chcę tu być dłużej: przenieście mię napowrót do mojego pokoju. Ci chińczycy wszyscy idą do mnie, boję się ich! — zawołał, przysłoniwszy twarz rękami i opadłszy na poduszki.

— Weźcie mię ztąd, weźcie, weźcie! — powtórzył kilkakrotnie.

Przeniesiono go napowrót do dziecinnego pokoju. Zadrzemane niebieskie światło wiszącej lampki łagodnym blaskiem obrzuciło ściągłą jego twarzyczkę, na której ciągle jeszcze paliły się dwie czerwone plamy gorączki.

Podano mu łyżkę z lekarstwem. Odsunął je rączką.

— Dajcie mi pokój! chcę spać! — zawołał.

Chwilę jeszcze leżał na wznak, z oczami szeroko otwartemi, w matowy, niebieski klosz lampy wpatrzony. Wargi jego drgały trochę, lecz już coraz słabiej, nieznaczniej.

— Niech ojczulek i mamusia już idą ztąd! będę spał; panna Felicja niech tylko zostanie — rzekł w końcu powolnym, osłabionym, lecz stanowczym głosem.

Północ minęła dawno. Wanda kilkakrotnie zaglądała do łóżeczka Jerzyka.

Leżał spokojnie i spał mocnym snem, jaki następuje zwykle po każdem przesileniu. Czerwone plamy schodziły stopniowo z twarzy jego; wargi bladły. Nie zbudziło go ani szare świtanie, ani jasny, słoneczny ranek dnia następnego.

Około dwunastej w południe dopiero otworzył oczy.

— Gdzie ja jestem? — zapytał, przecierając paluszkami powieki.

— Tu u siebie, w swoim pokoju, na swojem łóżeczku — odpowiedziała panna Felicja, dotykając ręką czoła jego, które już było chłodne, wilgotne i nie pulsowało gorączką.

— A mnie się śniło, że mamusia, ojczulek i Cechna mieszkali w takim wielkim, wielkim pałacu, że ja tam chodziłem po takich dużych salach, i zaplątałem się w dywan, taki, jak u ojczulka; potem... nie mogłem wyjść z niego i aż obudziłem się teraz...

— Synuś, czy ciebie nic już nie boli? ani główka, ani gardziołko, ani w piersiach? — pytała Wanda.

Nic go nie bolało. Miał ochotę wstać, lecz doktór kazał mu pozostać w łóżeczku jeszcze dni kilka z obawy, aby powtórnem przeziębieniem nie wywołać recydywy gorączki.

* * *

— Czy ty pamiętasz wierszyk, który ojczulek czytał przy tobie głośno cztery tygodnie temu, tutaj w swoim pokoju? — zapytał Gustaw, wziąwszy Jerzyka na kolana, w kilka dni po zupełnem jego wyzdrowieniu, kiedy malec biegał już po całem mieszkaniu z biczykiem w ręku, roztrącając krzesła z hałasem.

— Nic pamiętam nic, ani trochę, ani troszeczkę — brzmiała odpowiedź malca, wstrząsającego głową na znak przeczenia.

Jerzyk zamyślił się jednakże. Pytanie ojca zastanowiło go. Chciał sobie przypomnieć koniecznie jak to było z tymi wierszami?

— A prawda! — zawołał w końcu — już wiem teraz: to było wtedy, kiedy ojczulek tak sam do siebie mówił, a ja nic z tego nie zrozumiałem. Jak dorosnę to pewnie wszystko będę rozumiał, co ojczulek sam do siebie mówi.

Cecylja Walewska.

Przyszłość sztuki i poezji.

(Dokończenie)

Przyszłość malarstwa jeszcze mniejsze budzi obawy. Na podstawie studjów nad autorami greckimi fizjologowie dowodzą, iż poczucie kolorystyczne człowieka kształci się i rozwija. Rozkwit malarstwa należy do doby nowożytnej i najnowszej, a rosnące zamiłowanie przyrody, właściwe czasom naszym, powinno skłaniać nas do myśli, że poczucie barw wzmagać się będzie coraz bardziej.

I rozwój muzyki, zwłaszcza gdy się zważy, że ta gałęź sztuki także z biegiem czasu musi zmieniać swe formy, stosownie do nastroju uczuciowego danej epoki, również nie daje podstawy do ponurych proroctw.

»Stosując teorję naczelną Guyau — powiada p. K. — można uzupełnić jego poglądy na muzykę, twierdząc, że jest ona jedną ze sztuk najbardziej uspołeczniających, ponieważ budzi uczucia sympatyczne i dlatego ma przed sobą wielką rolę w przyszłości... Nie trzeba więc mówić o upadku, ale raczej o wzroście i rozwoju muzyki w epoce, która potęguje uczucia nieokreślone, zawiłe, wywołuje nastroje duszy półświadome i zagadkowe, tak pięknie wyrażające się w potokach melodji«.

Bliższe rozejrzenie się w utworach poetyckich nowszych czasów, zwłaszcza przy pamięci o tem, że »dzisiaj zamykanie poezji w karbach formy wierszowej byłoby płytkiem i szkolarskiem jej pojęciem«, przekonywa, iż o wyczerpaniu twórczości poetyckiej i zgonie poezji mowy być nie może. Prawda to, że epopeja cudowna i bohaterska przeżyła się, ale natomiast wskrzeszenie eposu wydało w naszych czasach: »Hermana i Dorotę«, »Don Juana«, »Legendę wieków«, a u nas nieśmiertelnego »Pana Tadeusza« i w niedawnej zupełnie chwili »P. Balcera w Brazylji« Konopnickiej. Prawda, że przeżyła się tragedja klasyczna, w rodzaju Kornela i Rasyna, ale nie przeżył się Szekspir, ani Szyller, ani Goethe. Obecnie właśnie Ibsen podejmuje na nowo zadania starożytnych tragedji greckich, które przedstawiały »walkę człowieka z przeznaczeniem, z ciążącą nad nim prawidłowością życia«. Dramat spółczesny tworzy nawet nowe zupełnie formy, tak zwaną sztukę *(pièce)* lub z powodzeniem wskrzesza przeżyte (Hauptmann'a »Hanele«).

Postawić można pytanie, czy fakta polityczne i ekonomiczne naszej epoki nie zapowiadają zmroku sztuki. I tu odpowiedź musi być przecząca. Demokratyzacja obyczajów dzisiaj powołała całe tłumy do rozkoszowania się dziełami fantazji. Jeżeli widzimy nawet, że sztuka, zniżając się do grubych pożądań tłumów, do płaskich zamiłowań filisterji, staje się marną i płytką, uważać to musimy za zboczenie tylko. Zresztą i te niższe rodzaje sztuki mają swoje cywilizacyjne znaczenie, odwodząc od uciech hulaszczych i bezmyślnych podniecając pożądania idealne w tych umysłach, które potem mogą łaknąć wrażeń szlachetniejszych i bardziej wytwornych. »Demokracja nie może stłumić inteligencji, koniecznej dla jej własnej obrony, nie może zniszczyć genjuszu, który jest najwyższą potęgą idealną, bo samaby siebie skazała na zagładę. Powiększając koła wielbicieli i słuchaczów, demokracja powiększa także widoki materjalnej karjery. Dzisiaj pisarz lub artysta obejść się może bez mecenasów, nie zależy, jak Corneille, od udzielonej lub cofniętej pensji, nie potrzebuje, jak Kamoens, jałmużny, nie kona, jak Klonowicz, w szpitalu, ale może żyć wygodnie z owoców swej pracy. W społeczeństwie zdemokratyzowanem ruch artystyczny i umysłowy obejmuje większe koła, więc artyści mogą znaleźć liczniejsze grupy zwolenników, którzy podsycają zapał serdecznem odczuciem. Tymczasem arystokracja intelektualna bywa czasami skłonną do reakcji, do zaskorupienia się w raz przyjętych doktrynach. Czasem łatwiej zreformować smak całej epoki, aniżeli smak akademji lub grona uświęconych powag. Przykładem tego stosunek Kornela do Akademji francuskiej albo Mickiewicza do klasyków... Dzisiejsze zdemokratyzowanie obyczajów pomyślnie wpływa na wzrost kultu sztuki za pomocą stowarzyszeń artystycznych, śpiewackich i malarskich...« Jako forma rządu, demokracja, jak i każda inna forma ustroju politycznego, z natury swojej nie jest przyjazną lub nieprzyjazną dla rozwoju sztuki.

Nie będziemy tu powtarzać za p. K. odpowiedzi, jaką daje tym, co we wzroście współczesnego przemysłu widzą zaporę dla rozwoju sztuki, a przejdziemy do streszczenia jego poglądów na kwestję, czy wzrost nauki i myśli naukowej, który kładzie coraz to silniejsze piętno na umysłach ludzkich, nie osłabi potęgi artysty? Czy wyobraźnia, popęd twórczy i uczucie nie wyczerpią swej siły pod działaniem słońca wiedzy.

Wiedza, powiadają, wyjaśniając zjawiska, ujmując je w formuły, pochwytne dla umysłu, zdziera z nich tę zasłonę tajemniczości i nieokreśloności, które są i po wszystkie czasy były żywiołami poezji. Keats, poeta angielski, przed 50 laty w toaście wykrzyknął *pereat* pamięci Newtona za to, że przez teorję pryzmatu wytłumaczył tęczę i rozbił poetyczność tego cudownego zjawiska.

Jednakże, pomimo teorji Newtona, tęcza nie przestała być jednym z najpiękniejszych powabów przyrody. Przeciwieństwo pomiędzy nauką i poezją jest tylko powierzchowne, gdyż każda z nich opiera się na szeregach odrębnych dążeń i aktów umysłu człowieka, każda wyraża inny jego stosunek do świata zewnętrznego. Nauka stara się określać jasno zjawiska i stosunek ich do siebie, wykazywać prawa ich wzajemnego oddziaływania. Poezja tymczasem, jak słusznie twierdzi Guyau, »rodzi się z wywołania wielkiej ilości idei i uczuć, które oblegają umysł i nie mogą być od razu uchwycone; jest ona nieustanną suggestją, ciągłem podnieceniem«. Zresztą, dzisiejsza nauka w swych najwyższych objawach ma w sobie coś podniosłego, stwarza pojęcie świata daleko estetyczniejsze i bardziej harmonijne, niż sztuczne systemata starożytnych. W ziemskim świecie teorja rozwoju połączyła wszystkie istoty, jako ogniwa jednego łańcucha. Ona w całej przyrodzie widzi pracę tajemniczą sił życiowych, przypuszcza w niej nieokreślone dążenia do lepszego, nadaje im jakiś ludzki pierwiastek i łączy silniej z duszą człowieka.

Ale poezja i sztuka mogą urodzić się tylko za sprawą talentu i genjuszu, którego siłą główną jest popęd twórczy. Otóż pytanie, czy ten popęd samorodny nie osłabi się pod działaniem wiedzy, która potęguje refleksję człowieka? Wątpliwości jednak podobne rozwiać się muszą, gdy zważymy, że potęga genjuszu i wyobraźni poetyczną, płodną jest nietylko w sztuce, ale i w nauce. Największe pomysły naukowe powstały za pomocą szybkiego objawienia. Wiemy, jaką doniosłą rolę odgrywają w nauce współczesnej hypotezy, a przecież są one tylko poezją wiedzy. Dlatego też nauka z zasady nie może być uważaną za niszczycielkę gienjuszu, z którego sama czerpie swe najdzielniejsze pomysły. Fakta zresztą dowodzą, że w naszem stuleciu potężny wzrost nauki nie zagłuszył rozkwitu sztuki i poezji.

Siłą podniecającą talent lub genjusz do tworzenia jest niewątpliwie uczucie. Otóż, według Mill'a, analiza (główny oręż nauki) ma siłę rozkładową, wzrost jej może zabić uczucie, a zatem zniszczyć jedno z głównych źródeł sztuki.

Dzieje przemiany i rozwoju różnych uczuć ludzkich w ciągu wieków nie potwierdzają jednakże tej obawy. W człowieku ucywilizowanym mogą budzić uczucia nietylko osoby lub rzeczy (jak w pierwotnym), ale doktryny, idee filozoficzne lub społeczne, wreszcie utwory sztuki, nawet zdobycze i zagadnienia naukowe. Z każdej myśli, która nas silniej opanuje, może wypłynąć zdrój nowego uczucia. Uczuciowość nasza przesyca się coraz bardziej inteligencją i staje się subtelniejszą i bardziej wyszlachetnioną. Nauka nowożytna nietylko nie osłabiła miłości przyrody, ale ją spotęgowała, ukazując światy nowe w kropli wody, »w pyłku, w każdej gwiazd iskierce«. Bliższe przyjrzenie się poezji nowożytnej wykazuje dowodnie, że i uczucia, wynikające ze stosunku człowieka do tajemnic zaświatowych oraz uczucia religijne (naturalnie, nie zamknięte całkowicie w sferze kultów wyznaniowych), ulegając nieustannym zmianom, nie gasną, pomimo wzrostu nauki i refleksji. Uczucia społeczne w miarę rozwoju cywilizacji rozszerzają się i tracą swą wyłączność. W społeczeństwach wysoko cywilizowanych, miłość ojczyzny łączy się z miłością ludzkości. Uczucia oraz ideały wszechludzkie grają wielką rolę w nowożytnej poezji. Nasi romantycy łączyli swe wzniosłe marzenia z ogólnem braterstwem i odrodzeniem ludów. W ogóle uczucia altruistyczno-społeczne wzmacniają się raczej, aniżeli słabną pod wpływem cywilizacji. U Wiktora Hugo uczucia te są jednem z głównych źródeł poezji. U nas z tegoż samego źródła czerpią: Orzeszkowa, Prus.

Uczucie miłości erotycznej jest czynnikiem w poezji bardzo potężnym. We współczesnej poezji można wykazać raczej nadmierną przewagę erotyzmu, aniżeli jego znikanie pod wpływem wzrostu refleksji, który nie zdołał zabić w duszy ludzkiej pierwiastku uczuciowego.

Nauka i filozofja nowożytna, nie gasząc blasków poezji, wkroczyły natomiast w jej dziedzinę, co zresztą w dziejach literatury nie jest nowością. Już Hezjod, Owidjusz, Lukrecjusz i Horacy stworzyli różne rodzaje poezji dydaktycznej. Poezja nowożytna zarzuciła chłodną dydaktykę i dokonała wspaniałej spójni ducha filozoficznego z twórczem uczuciem i fantazją. Śmiało można powiedzieć, że każdy poeta dzisiejszy musi mieć w sobie pewną cząstkę ducha filozoficznego, aby stanąć na wyżynie potrzeb naszej epoki. Myśl filozoficzna pogłębia poezję, przenika ją poczuciem nieskończoności, zapładnia ją żywotnemi ideami. Guyau twierdzi nawet, że sztuka, łącznie z filozofją zastąpią w przyszłości potrzebę dogmatyzmu religijnego.

Ma się rozumieć, że wszelkie prognostyki o szczegółowych kolejach przyszłej sztuki nie mogą mieć głębszego znaczenia, bo estetyk nie może być wróżbitą. Z przytoczonej powyżej argumentacji płynie ta tylko jasna prawda, że sztuka i poezja nie mogą być skazanemi na zagładę częściami cywilizacji, bo stanowią jedną z jej sił żywotnych. Nauka nie może zniszczyć ani wyrugować sztuki i poezji, tak samo, jak słońce nie wysuszy źródeł i potoków górskich, z których biorą początek wielkie rzeki. *p.*

Przegląd pism.

»Kwartalnik historyczny«. — Zeszyt IV. 1894.

Rozprawa p. Czołowskiego p. t. »Wojna polsko-turecka 1675 r.«, oparta na źródłach archiwalnych, rozpoczyna omawiany zeszyt kwartalnika. W opisie tej wojny poczesne zajmuje miejsce obrona Trembowli. »Należy ona bezwątpienia do najzaciętszych w dziejach naszych i, jako taka, godnie może stanąć obok obrony Kremlinu (1612) i Zbaraża (1649)«. Jak wiadomo, nie małą zasługę miała w tej obronie żona komendanta Chrzanowskiego. Żadne, niestety, ze źródeł spółczesnych nie podaje imienia dzielnej komendantowej, którą pierwszy, jak się zdaje, Zaborowski nazwał Zofją. P. Czołowski uważa, iż w obronie Trembowli brała udział druga żona Chrzanowskiego Anna Dorota z domu von Frezen, późniejsza komendantowa m. Lwowa. Omawiany artykuł zdobi piękna reprodukcja ryciny współczesnego sztycharza holenderskiego Romana de Hooghe, który uwiecznił oblężenie Trembowli.

W artykule p. t. »Dyarjuszek moskiewski lwowianina z r. 1606« podaje p. Łoziński z akt ławniczych m. Lwowa dyarjusz pomocnika aptekarskiego Stanisława Kołaczkowskiego, wyprawionego przez jego pryncypała Marcina Spytka, aromatarjusza lwowskiego, do Moskwy. Przyłączył się on do wyprawy wojewody sandomierskiego Mniszcha, wiozącego swą córkę na zaślubiny z Dymitrem Samozwańcem.

P. Piekosiński pisze »w sprawie grzywien karnych w dawnej Polsce«.

Miscelanea, recenzje i sprawozdania wyczerpujące, jak zwykle, dopełniają całości zeszytu. *p.*

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.